

A.J. MCDINE

NIEMOWLĘ



Pragnęła dziecka.

Pewnego dnia znalazła je w swoim salonie.



A.J. MCDINE

NIEMOWLĘ



Pragnęła dziecka.
Pewnego dnia znalazła je w swoim salonie.

A. J. MCDINE
NIEMOWŁĘ



Copyright © A.J. McDine, 2024

Published in Great Britain in 2024 by Storyfire Ltd trading as Bookouture

Copyright for this edition © 2026 by Nemezis / Grupa Wydawnicza Axis
Mundi

PRZEKŁAD: Magda Adamowska

REDAKTOR PROWADZĄCY: Anastazja Tabor

REDAKCJA: Ksenia Olkusz

KOREKTA: Dominika Kamyszek – www.OpiekunkaSlova.pl

KOREKTA techniczna: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

Wydanie I

ISBN 978-83-8412-496-3

A.J. McDine has asserted her right to be identified as the author of this
work.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Niniejsza książka jest dziełem fikcyjnym. Wszelkie imiona, nazwiska, postacie, firmy, organizacje i wydarzenia (z wyjątkiem tych jednoznacznie należących do domeny publicznej) są wytworem wyobraźni autorki lub zostały użyte w sposób fikcyjny. Wszelkie podobieństwo do prawdziwych osób (żyjących bądź zmarłych), wydarzeń lub miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Weronika Panecka

*Dla moich dwóch małych chłopców, Olivera i Thomasa,
teraz już przystojnych młodych mężczyzn*

1

Ze snu wyrywa mnie dźwięk, którego nie umiem rozpoznać. Śpiew ptaków? Kot? Trudno powiedzieć, bo gdy tylko próbuję zebrać myśli, znów zapada cisza. Jedyne odgłosy to znajome dudnienie w głowie i łomotanie w klatce piersiowej.

Chwytam telefon ze stolika nocnego i zamglonym wzrokiem zerkam na ekran. Serce mi staje. Cztery nieodebrane połączenia od Milesa. Otwieram rejestr połączeń, by zobaczyć, kiedy dzwonił. Pierwszy raz o północy, a potem co piętnaście minut aż do pierwszej – wtedy najwyraźniej się poddał. Miles nie znosi, kiedy nie odbieram telefonu. Martwi się wtedy straszliwie. Teraz zaś będzie odchodził od zmysłów. Jakim cudem nie usłyszałam tego cholernego dzwonka?

Próbuję usiąść, krzywiąc się z bólu, po czym przyciskam telefon do ucha i dzwonię do Milesa. W takich chwilach się cieszę, że mój mąż nie cierpi FaceTime'a. Jedno spojrzenie na moją bladą twarz i od razu by uznał, że jestem chora. Ale chociaż wiem, że mnie nie widzi, to i tak wyglądam rękoma górę pizamy, przyklejam uśmiech na twarz. Ten jednak gaśnie, gdy włącza się poczta głosowa. Rozważam nagranie mu wiadomości, lecz brakuje mi słów, więc kończę połączenie. Będzie wiedział, że próbowałam się dodzwonić – to najważniejsze. Oddzwoni, gdy będzie mógł.

Tylko co mu powiem, gdy zapyta, gdzie byłam zeszłej nocy, skoro nawet ja tego nie pamiętam?

Przeglądam kalendarz w telefonie, szukając wskazówek. Jest tylko jeden wpis z minionego dnia: „Dentysta, 11.40”. Tak, teraz sobie

przypominam. Pojechałam do Canterbury, gdzie zostawiłam mini na wielopoziomowym parkingu, bo było już późno. Po wizycie u stomatologa kupiłam kanapkę i coś do picia, po czym zabrałam to do Westgate Gardens, żeby spokojnie usiąść i zjeść posiłek nad brzegiem rzeki Stour. Delikatny szum wody musiał mnie uśpić, gdyż pamiętam, że obudziły mnie podniesione głosy oraz płacz niemowlęcia. A potem nic – aż do dzisiejszego ranka.

Zupełnie nic.

Lęk ściska mi wnętrzności. Zsuwam nogi z łóżka i kuśtykam do okna. Miejsce, w którym zwykle parkuję, jest puste.

Jak ja, do licha, dotarłam do domu?

Kieruję się z powrotem do łóżka i grzebię w drobiazgach na szafce nocnej. Znajduję w torebce pogniecioną wizytówkę lokalnej firmy taksówkarskiej.

Przynajmniej jedna zagadka rozwiązana.

Marzę, by z powrotem wskoczyć do łóżka i przespać poranek, ale słońce zalewa ten długi, wąski pokój na poddaszu w domu mojego dziadka. To piękny dzień, więc nie zamierzam go zmarnować. A poza tym trzeba nakarmić kota, lodówka jest pusta i obiecałam sobie, że pozrywam czerwone porzeczki i maliny, zanim zjedzą je kosy.

Po prysznicu gwałtowny pulsujący ból u podstawy czaszki łagodnieje do tępego klucia w oczodołach. Pół litra wody i kilka ibuprofenów powinny pomóc. Spójrzmy prawdzie w oczy – bywało gorzej.

Przez spocznik człapie do mnie Percy, ociera się o moje kostki, miauczy przeraźliwie.

– Wiem. Wybacz – mówię, pochylając się, by podrapać go po brodzie. Za późno uświadamiam sobie błąd. Wiruje mi w głowie, na chwilę tracę

poczucie, gdzie jest góra, a gdzie dół, i czuję, jak przewracam się do przodu.

– Chryste...

Wyciągam rękę, by chwycić się poręczy. Dopiero gdy zawroty głowy mijają, nabieram pewności i schodzę za Percym po schodach do kuchni.

Rudego kocura odziedziczyłam po dziadku. Razem z jego posesją: dwupokojowym wiejskim domkiem otoczonym akrem ogrodu na obrzeżach Chilham, urokliwej wioski w Kent Downs*.

Percy znów miauczy, a gdy sięgam do szafki po karmę, zdaję sobie sprawę, że wczoraj musiałam zużyć ostatnią saszetkę. Wspomnienie wypływa na powierzchnię jak olej na wodzie. W drodze powrotnej od dentysty zamierzałam podjechać do supermarketu. Najwyraźniej tak się nie stało.

– Przepraszam, Percy. – Przeciągam dłońmi po policzkach. Mam trzydzieści dwa lata i nie umiem zatroszczyć się o kota, a co dopiero o siebie.

W głębi szafki znajduję samotną puszkę tuńczyka. Data ważności wskazuje na kilka lat wstecz, ale kot ma to gdzieś. Pochłania zawartość pojemnika w kilka sekund, po czym znika w klapce w drzwiach, machając rudym ogonem.

Nalewam wody do szklanki, po czym wypijam jednym haustem. Potem szykuję kolejną, wyciskam z blistra kilka ibuprofenów i połykam. W kuchni panuje nieład. Bałagan w każdym zakątku, przepełniony kosz na śmieci. Ale najpierw herbata – potem zajmę się resztą. Nie dam rady zjeść śniadania, nie tego ranka.

Włączam czajnik i wyglądam za okno, czekając, aż woda się zagotuje. Chociaż widzę, jak Percy wylega się na słońcu przy szklarni, mogłabym przysiąc, że nie jestem w domu sama. Ale czasami mam takie uczucie.

Jakby duch dziadka utkwiał między płytą gipsowo-kartonową a izolacją. Bywa, że czuję jego obecność tak wyraźnie, jak gdyby stał tuż obok mnie, choć poza zasięgiem wzroku.

Ale dzisiaj jest inaczej. Naprawdę coś słyszę. Z salonu dobiega szmer. Nie szmer. Raczej chlipanie. Sztywnieję, zaciskam dłoń na blacie kuchennym i przechylam głowę na bok. Z nadzieją, że Percy nie przytargał do domu królika – nie zniosę tego, nie dzisiaj – idę korytarzem na front domu.

Przy drzwiach do salonu stoję jak wryta. Zawartość dolnej szuflady starego dębowego kredensu dziadka, tego z „kręconymi” nóżkami, jest rozsypana po podłodze. Dzienniczki i kartki urodzinowe, koperty i notesy, stare torebki z nasionami i długopisy, taśma klejąca i sznurek ogrodniczy – wszystko rozrzucone w nieładzie po dywanie.

Ale to drobiazg. Moją uwagę przykuwa to, co leży w wywróconej na podłogę szufladzie.

Malutkie pięści machające w powietrzu. Pulchne nóżki ubrane w białe śpioszki. Kosmyk ciemnych włosów.

Niemowlę.

I to nie ma sensu, żadnego sensu. Bo ja, Lucy Quinn, mogę mieć męża Milesa, kota Percy’ego i domek, który niegdyś należał do mojego dziadka.

Ale jedyne, czego nie mam, czego nigdy nie miałam, to... dziecko.

* Chroniony krajobrazowo obszar w hrabstwie Kent, znany z piękna przyrody (przyp. tłum.).

2

Nie mam pojęcia, jak długo stoję w drzwiach, wpatrując się w niemowlę. Minutę? Dziesięć minut? Zastygam w bezruchu; przerażenie zmienia moje nogi w lód, a wnętrzności w galaretkę.

Dopiero gdy chlipanie dziecka przeradza się w szloch, udaje mi się zmusić nogi do ruchu. Kucam nad szufladą i ostrożnie wyciągam dłoń, by dotknąć policzka maleństwa. Mam poczucie, że za chwilę cały pokój zniknie w kłębach dymu, że to wszystko jest tylko wytworem mojej wyobraźni. Ale policzek jest miękki, ciepły, prawdziwy.

Cokolwiek się dzieje, to nie jest sen.

Zrywam się na nogi i krążę po pokoju z rękoma splecionymi za głową.

Co się stało wczoraj, po tym jak opuściłam Westgate Gardens? Zanim zacznę odkopywać wspomnienia zagrzebane głęboko w podświadomości, słyszę dobiegający z kuchni dźwięk telefonu. To pewnie Miles, oddzwania do mnie.

Cholera.

Dostrzegam wciśniętą w głąb szuflady grzechotkę w kształcie kraba i podaję ją niemowlęciu. Malutkie paluszki zaciskają się na rączce.

– Zaraz wracam. Proszę, proszę, bądź cicho – szepczę.

Telefon wibruje na blacie obok czajnika. Chwytam go i biorę głęboki oddech.

– Hej! – odpowiadam radośnie.

– Luce, wszystko w porządku?

– Oczywiście. Czemu miałoby nie być?

– Wydzwaniałem późnym wieczorem. Nie odbierałaś. – W jego głosie nie ma gniewu ani wyrzutu, tylko troska. Poczucie winy przeszywa mnie na wskroś.

– Źle się czułam, jakby brała mnie choroba, więc wyłączyłam telefon i poszłam spać. Przepraszam. Nie chciałam cię martwić.

Milczy tak długo, że zastanawiam się, czy połączenie się urwało.

– Owszem, martwiłem się – mówi w końcu. – Na pewno wszystko dobrze? Z tobą wszystko dobrze?

Co mam mu powiedzieć? Że absolutnie nie pamiętam ostatnich osiemnastu godzin życia? Że obudziłam się i w naszym salonie znalazłam niemowlę?

I co właściwie Miles mógłby zrobić? Pracuje na platformie wiertniczej położonej sto mil od wybrzeża Aberdeen. Nie ma potrzeby go niepokoić. Powiem mu o znalezisku, gdy to wszystko rozgryzę, bo musi być jakieś racjonalne wytłumaczenie. Prawda?

– Nic mi nie jest. Lemsip i wczesny sen załatwiły sprawę. Właśnie zamierzałam wyjść do ogrodu.

– Aha, skoro jesteś zbyt zajęta, żeby ze mną rozmawiać...

Teraz go zdenerwowałam. Przeczesałam dłonią włosy. Są rozczochrane, przetłuszczone.

– Oczywiście, że nie jestem zbyt zajęta. Miałam tylko pozbierać owoce.

– Usiłuję powiedzieć coś ciekawego. – Wróciły młode lisy. Zeszłego wieczoru prawie pół godziny oglądałam, jak bawią się na trawniku. Dzięki Bogu, ten najmniejszy dogania swoje rodzeństwo.

– Zeszłego wieczoru?

– Tak właśnie powiedziałam. – To tylko białe kłamstwo. Lisica i jej miot czterech młodych faktycznie pojawiły się pod wieczór, ale Miles nie

zadzwoń do niej, by to sprawdzić. – Zostawiłam im trochę karmy dla kotów.

– To szkodniki, Lucy. Nie powinnaś ich zachęcać.

– Wiem, ale są takie urocze. I odwziewają mi się z nawiązką, powstrzymując grasujące króliki. – Słyszę skomlenie dobiegające z salonu, więc dociskam telefon do ucha. – Porozmawiamy wieczorem, dobrze?

– Dziś nie mogę. Idę z chłopakami grać w karty.

– W takim razie jutro?

Wzdycha.

– Dobrze, do jutra.

Żałuję, że nie rozmawiamy twarzą w twarz, bo mogłabym z niej wyczytać, czy faktycznie jest na mnie zły, czy tylko wykończony.

– Kocham cię, Miles.

– Wiem. – Jego głos łagodnieje. – Ja też cię kocham. Słuchaj, spóźnię się na odprawę bezpieczeństwa. Pogadamy jutro, tak? Zadzwoń – mówi i połączenie się urywa.

Pomykam z powrotem do salonu. Niemowlę podnosi wzrok i marszczy buzię. Najwyraźniej nie jestem osobą, którą spodziewa się – lub ma nadzieję – zobaczyć. Pojękiwanie nabiera tempa, a gdy stoję przy sofie, dziecko już płacze rozdzierająco. Rozglądam się bezradnie, jak gdyby rozwiązanie problemu kryło się na widoku. Nie jestem pewna, na co dokładnie liczę. Że matka dziecka mieszka w pobliżu i wpadła się przywitać? Zostawiła pociechę pod moją opieką i poszła do toalety?

Wyobrażam sobie tę sytuację, ale wiem, że to nieprawda. W domu jesteśmy we dwoje. Ja i niemowlę.

Mój wzrok pada na opartą o biurko dużą czarną torbę, której nie rozpoznaję. Klękam, po czym przeszukuję jej zawartość. W głównej przegrodzie jest kilka pieluszek jednorazowych, są też mokre chusteczki,

tubka kremu na odparzenia, zapasowe śpioszki i trzy małe plastikowe kartoniki z mlekiem modyfikowanym. W bocznej kieszeni znajduję trzy puste butelki do karmienia.

No jasne – trzeba nakarmić dziecko. Nie wiem, czemu wcześniej nie przyszło mi to do głowy. Biedactwo musi umierać z głodu. Nic dziwnego, że płacze. Sięgam po kartonik z mlekiem oraz po jedną z butelek i zanoszę je do kuchni.

Nie mam zielonego pojęcia, ile pokarmu potrzebuje taki maluch, więc dla pewności przyrządzam w butelce dwieście mililitrów. Zerkam na kartonik:

Pełnowartościowy substytut mleka matki... Odpowiedni dla noworodków... Myć ręce... Sterylizować wszystkie naczynia zgodnie z instrukcjami producenta... Można podawać w temperaturze pokojowej.

Całe szczęście, bo dziecko płacze już na całego.

Wróciwszy do salonu, stawiam butelkę przy oparciu sofy i ostrożnie biorę maleństwo na ręce. Małe ciało się wije, a buzia jest czerwona i pomarszczona.

– Już, już... – rzucam niepewnie, choć jesteśmy sami.

Płacz nasila się jednak o kilka decybeli. Siadam na sofie, układam niemowlę w zgięciu lewej ręki, sięgam po butelkę. Może ja nie wiem, co robię, lecz po chwili staję się oczywiste, że dziecko wie doskonale. Gdy tylko dostrzega butelkę, wyciąga rączkę i otwiera buzię. Kilka sekund później zapada błoga cisza. Maluch zatapia we mnie wzrok, a ja automatycznie odwzajemniam mu się uśmiechem.

– Kim ty jesteś? – szepczę. – Skąd się tu wziąłeś?

Ale oczywiście niemowlę milczy. Pytania kłębią mi się w głowie bez końca i czuję, że zaraz eksploduję.

3

Gdy niemowlę wydaje się najedzone, wygrzebuję z torby chusteczki i czystą pieluszkę. W środku jest też mata do przewijania – mała, składana – więc umieszczam na niej dziecko i rozpinam mu zatrzaski na śpioszkach.

Nigdy wcześniej nie zmieniałam niemowlęciu pieluszki. W ogóle nie miałam zbyt wiele do czynienia z małymi dziećmi. Ale przecież nie może to być aż takie trudne, prawda? Przewijanie pozwala mi przynajmniej zebrać myśli, gdy próbuję zrozumieć, co się dzieje. Wiem, powinnam zawiadomić odpowiednie służby, że znalazłam dziecko – dziecko, o którym zupełnie nic nie wiem – ale to może poczekać. A ono nie może.

Wyciągam małe stóпки z pajacyka i odklejam lepkie paski z przodu pampersa. Kiedy tylko to robię, opryskuje mnie strumień moczu. Nie potrafię powstrzymać się od śmiechu, a maluch wpatruje się we mnie szeroko otwartymi oczami.

A więc chłopiec. Powinnam była się domyślić. Coś głęboko we mnie przeskakuje i wraca na właściwe tory.

– Wren – mówię łagodnie.

Bobas łapie mnie za palec i ściska mocno.

– Podoba ci się to imię, co? – Czuję kluchę w gardle. Muszę wziąć się w garść. – Skoro już tu jesteś, to chyba możemy nazywać cię Wren?

Nie protestuje, więc sprawa jest załatwiona. Sięgam po chusteczki nawilżane.

– Wyczyścimy cię trochę, dobrze?

Dopiero gdy maluch ma na sobie czystą pieluszkę, zdaję sobie sprawę, że mocz wsiąknął mu w piżamkę. Jest tak niespokojny, że zmiana ubranka zajmuje wieczność, a kiedy kończę, powieki już mu się zamykają.

Szuflada biurka wyłożona jest miękkim polarowym kocem w kolorze żółtym, takim jak dzikie pierwiosnki. Trzymając Wrena niezręcznie w jednej ręce, składam koc i kładę go z powrotem do środka. Wkłada sobie kciuk do buzi, a ja głaszczę go po policzku, aż zasypia.

Gdy pograża się we śnie, maszeruję do kuchni i szukam czystego kubka oraz torebki herbaty. Gdy napar nabiera mocy, zwalnim miejsce na stole i siadam.

Miles by się wkurzył, gdyby zobaczył, w jakim stanie jest dom. Zawsze gdy wraca, panuje tu nieskazitelny porządek. Pracuje na platformie przez cztery tygodnie, potem ma dwa tygodnie wolnego, a dwa dni przed jego powrotem szoruję dom od góry do dołu. Kiedy przyjeżdża, zmęczony i zrzędlivy – co zdarza się coraz częściej – witają go lśniące powierzchnie, świeże kwiaty i zapach pysznego posiłku skwierczącego w piekarniku.

Siebie też doprowadzam do porządku. Nigdy nie widział mnie w niechlujnych dresach, bez makijażu, z przetłuszczonymi włosami związanymi w byle jaki kucyk. Wyrrywam i depiluję, poleruję i pucuję – żeby choć trochę przypominać dziewczynę, w której zakochał się lata temu, choć z lekkimi zmarszczkami wokół oczu i bez talii osy.

Miles wie dwa życia: jedno tutaj ze mną, a drugie na morzu. Na morzu jego życie jest ciężkie. Dwunastogodzinna zmiana, fizyczna harówka w trudnych warunkach, brak prywatności i czasu wolnego. Ale jest to również życie pełne emocji i wrażeń. Ekipa jest zgrana, bo więzi między pracownikami zacieśniane są przez długie spędzane razem godziny ze świadomością, że jeden błąd może przynieść katastrofalne skutki dla wszystkich.

Do domu wraca jak do oazy bezpieczeństwa. Chodzimy na spacer, oglądamy programy o remontach, fundujemy sobie lunch w pubie i zastanawiamy się, czy nie zainwestować w oranżerię. To jego zaciszny port w porównaniu z unikaniem sztormów i zmaganiem się ze skomplikowaną maszyną na wysokiej platformie na środku Morza Północnego.

Martwię się jednak, że szara rzeczywistość gniazda rodzinnego mu nie wystarcza. Czasami, gdy Miles nie widzi, że go obserwuję, dostrzegam jego nieobecny wyraz twarzy, jakby myślami błądził gdzie indziej.

I rozumiem to, naprawdę rozumiem, bo ja czuję podobnie.

Przez cztery tygodnie z sześciu Percy i ja mamy dom tylko dla siebie. Mogę wstawać o świcie lub leżeć do południa. Mogę spędzać cały dzień w ogrodzie i jeść płatki śniadaniowe na kolację. Mogę pić wino w tygodniu bez pouczeń na temat spożywania alkoholu. Mogę nawet zapalić papierosa lub dwa. Krótko mówiąc: mogę robić, co mi się żywnie podoba.

A przez pozostałe dwa tygodnie, gdy już wszystko wypoleruję i wypucuję, powyrywam i wydepiluję, odgrywam rolę idealnej żony.

Ale teraz mam na głowie ważniejsze sprawy niż mąż – muszę zdecydować, co zrobić z Wrenem.

Podnoszę telefon, jednak palec zawisa nad klawiaturą, gdy wyobrażam sobie, co właściwie powiedzieć operatorowi po drugiej stronie numeru 999.

„Dzwonię, żeby zgłosić znalezienie dziecka. W moim salonie. Tak, zgadza się. Cóż, to musiała być niezwykła noc, ponieważ wygląda na to, że straciłam pamięć, za to zyskałam niemowlę”.

Brzmi to tak nieprawdopodobnie, że rozmówca najpewniej się rozłączy, uznawszy telefon za durny kawał.

A może mogłabym zabrać Wrena na posterunek w Canterbury? Wyjaśnienie sytuacji twarzą twarz komuś w recepcji musi być łatwiejsze

niż szukanie odpowiednich słów przez telefon.

Tyle że minęły już czasy, gdy można było bez problemu znaleźć dane kontaktowe i godziny otwarcia lokalnego posterunku. Strona internetowa policji jest zaprojektowana tak, żeby zachęcić ludzi do korzystania z formularza on-line. Są tam linki do zgłaszania przestępstw, przemocy domowej, wypadków drogowych i zaginięć, ale mój wzrok przyciąga odnośnik do zgłaszania osób odnalezionych. Klikam na formularz, który prosi o imię i nazwisko, adres e-mail i numer telefonu. I już mam wpisać swoje dane, gdy coś mnie powstrzymuje.

Jeśli to zrobię, nie będzie odwrotu. Znajdę się w systemie, podobnie jak Wren. Ktoś sporządzi raport, funkcjonariusz pojawi się u drzwi, padną pytania. Pytania, na które nie znam odpowiedzi. I jak to będzie wyglądać?

Instynkt samozachowawczy bierze górę i zamykam formularz. Przed kontaktem z policją warto przeprowadzić własne dochodzenie. Muszę sprawdzić, skąd pochodzi Wren, czym jest dzieckiem i – co ważniejsze – jaką rolę odegrałam w tej całej sprawie.

4

Zaczynam od wpisania w wyszukiwarke hasła „zaginione dziecko, Kent” i jestem wstrząśnięta ogromną liczbą dzieci zgłoszonych jako zaginione w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Są to głównie nastolatki, choć kilkoro ma mniej niż dziesięć lat. Klikam na poszczególne ogłoszenia i z ulgą stwierdzam, że większość z nich odnalazła się cała i zdrowa.

Mam nadzieję, że to prawda, ale nie mogę przestać myśleć o tym, jak zrozpaczone musiały być te dzieci, jak bardzo musiały czuć się zagubione, skoro uznały, że ucieczka jest jedyną opcją.

Przewijam stronę, obok stygnie herbata. Im głębiej schodzę w dół strony, tym bardziej zmniejsza się supeł niepokoju w mojej piersi. To dobrze. Gdyby wczoraj porwano niemowlę, trąbiono by o tym we wszystkich wiadomościach. Już mam sprawdzić stronę BBC News, aby się upewnić, gdy nagle moją uwagę przykuwa nagłówek:

**Policja prosi o pomoc w poszukiwaniach zaginionego
małego dziecka w hrabstwie Kent.**

Gdy wchodzę na stronę i nerwowo czekam, aż się załaduje, powtarzam sobie, że to nie może być Wren. Nie jestem ekspertką od niemowląt, ale może mieć najwyżej trzy, cztery miesiące.

Te myśli nie zatrzymują jednak przyśpieszonego tętna, które zwalnia dopiero wtedy, gdy widzę na fotografii małego niebieskookiego blondyna z łobuzerskim uśmiechem, ubranego w piżamę z dinozaurami. Skanuję wzrokiem jego historię. Dylan Holdstock zaginął we własnym domu

w hrabstwie Kent po śniadaniu dwa tygodnie temu i od tamtej pory go nie widziano. Biuro szeryfa prosi każdego, kto go widział, o natychmiastowy kontakt.

Biuro szeryfa?

Pukam się w czoło. Ależ oczywiście. Ten rumiany chłopiec nie zaginął tutaj, w Wielkiej Brytanii, lecz zniknął z domu w hrabstwie Kent w stanie Michigan, prawie cztery tysiące mil stąd.

Sprawdzam wszystkie lokalne strony z wiadomościami, a nawet włączam stare tranzystorowe radio dziadka, by wysłuchać wiadomości o dziesiątej.

Żadnych wzmianek o niemowlętach, zaginionych czy nie.

Wylewam zimną herbatę do zlewu, płuczę kubek i stawiam na ociekaczu, myślami krążąc między Dylanem a Wrenem.

Dwóch małych chłopców: jeden zaginął, drugi się odnalazł.

Biedna matka Dylana musi odchodzić od zmysłów. Ta świadomość sprawia, że kieruję myśli ku mamie Wrena. Czy w ogóle ją obchodzi, że go nie ma?

Bo jedno jest pewne. Nikt nie zgłosił jego zaginięcia.

Wren nadal śpi, gdy na palcach wchodzę do salonu, żeby sprawdzić, jak się miewa. Ręce ma rozłożone nad głową, a usta ściśnięte, jakby nawet we śnie nie akceptował sytuacji, w której się znalazł.

Nie mogę go za to winić. W końcu jak to musi być – zostać wyrwanym z korzeniami z jednego życia i być wrzuconym w inne, powierzyć swoje zaufanie i życie kobiecie, która ledwo potrafi zadbać sama o siebie?

Nadal nie skontaktowałam się z policją. Wiem, że z każdą mijającą godziną coraz trudniej będzie wyjaśnić, jakim cudem Wren się tutaj znalazł. Zwłaszcza że ja sama nie znam odpowiedzi. Postanawiam dać sobie czas do rana, żeby się przekonać, czy zdołam poskładać rozbite na kawałki wspomnienia.

Wracam do torby Wrena z rzeczami do przewijania, wysypuję zawartość na dywan i sprawdzam każdą rzecz w poszukiwaniu choćby śladu tego, do kogo należy.

Na butelkach widnieje logo znanej marki. Podobnie jak na chusteczkach i pieluszkach. Krem na odparzenia można kupić w każdym markecie oraz aptece w kraju, więc w niczym mi to nie pomaga. Podobnie jest z piżamką, która według metki pochodzi ze znanej sieciówki.

Podnoszę torbę, po czym zaglądam do środka, na wypadek gdybym coś przeoczyła. Jest tam jeszcze jedna zapinana na suwak przegroda, której wcześniej nie dostrzegłam. Otwieram ją i palcami wymacuję pęk kluczy. Jeden mosiężny klucz do zamka wpuszczanego oraz jeden mniejszy, srebrny do drzwi z PVC. Klucze do domu. Ale to brelok sprawia, że włosy na karku stają mi dęba.

Cienka, zielona obręcz ze sztucznego tworzywa z napisem „Dawca krwi – Grupa 0 Rh-”. Takie breloczki dostają ludzie, którzy po raz pierwszy oddają krew. Wiem to, bo mam dokładnie taki sam.

Zrywam się na równe nogi i pędzę do kuchni, by sprawdzić haczyk na klucze przy tylnych drzwiach wyjściowych, jakbym się spodziewała, że mój brelok zniknie. A jeśli tak się stanie, to co to może znaczyć? Mój klucz jest jednak dokładnie tam, gdzie go zostawiłam – wisi na swoim miejscu z przymocowanym do niego kluczem do szopy.

Po powrocie do salonu wpatruję się w dwa breloki. Ten z torby Wrena jest zdecydowanie nowszy. Mój jest zniszczony i wyblakły.

Oddaję krew od lat. Grupa 0 Rh- nie jest najrzadsza, ale też nie jest powszechna. Ma ją mniej więcej jedna osoba na siedem. Znana jest jako uniwersalna, gdyż mogą ją przyjąć ludzie z dowolną grupą krwi. Za to osoby z grupą 0 Rh- mogą przyjąć tylko 0 Rh-. To z tego powodu zostałam dawczynią krwi. Zbierasz to, co zasiejesz.

W Wielkiej Brytanii mieszka sześćdziesiąt siedem milionów ludzi, co oznacza, że ponad dziewięć i pół miliona ma tę samą grupę krwi co ja. Jedna z nich jest najpewniej biologiczną matką Wrena.

Matka biologiczna. Łapię się na tym skojarzeniu. Wren nie jest mój i muszę wbić to sobie do głowy. Muszę myśleć o nim jak o dziecku potrzebującym doraźnej opieki zastępczej. Zajmuję się nim dopóty, dopóki nie znajdę jego prawdziwej matki, a potem go oddaję.

Wren wierci się przez sen. Gładzę go po głowie. Jego włoski są mięciutkie jak piórko. Na czubku głowy ma małe wgłębienie w kształcie rombu. Przez chwilę panikuję, ale potem sobie przypominam, że wszystkie niemowlęta je mają. Kiedyś o tym czytałam. O elastycznym miejscu w czaszce, które pozwala na zwężenie głowy podczas porodu. Zrasta się samoistnie. Ciemiączko, z francuskiego *fontanelle*. Pamiętam, bo pomyślałam, że nazwa brzmi jak rodzaj makaronu.

Przesuwam kciukiem po delikatnym miejscu i wyczuwam subtelne pulsowanie. Wren otwiera oczy i zatapia we mnie zamglone spojrzenie.

– Ćśśś... – mruczę pod nosem. Kreślę palcem okręgi, jeden za drugim. Po chwili zamyka oczy, a jego oddech znów się pogłębia. Odchodzę na palcach.

No dalej, Lucy. Myśl.

Podnoszę torbę z rzeczami do przewijania, ważę ją w dłoniach, próbując coś wywnioskować. Wydaje się droga, a cała jej zawartość jest nieskazitelnie czysta i starannie zapakowana. Uporządkowana. To nie jest

torba osoby z chaotycznym stylem życia, matki o pustym spojrzeniu, jaką widuje się w wiadomościach po śmierci zaniedbanego dziecka. Jest własnością kogoś, kto się o nie troszczy.

Ale jeśli się troszczy, to dlaczego nie zgłosiła zaginięcia? Straciła dziecko, straciła też klucze do domu. To nie ma sensu.

A może przyczyna leży gdzie indziej. Może boi się aresztowania przez policję za jakieś dawne wykroczenie albo chroni dziecko przed agresywnym partnerem? A co, jeśli nie jest prawdą, że nie zadała sobie trudu, by zgłosić zaginięcie Wrena, lecz po prostu... nie może? Co jeśli coś jej się stało? Może leży gdzieś w rowie ciężko ranna, a nawet martwa. Czy natknęłam się na niemowlę w wózku, gdy wypłam o jednego za dużo, nie mając świadomości, że jego mama leży poturbowana w pobliżu?

Czy zabrałam go do domu, żeby zapewnić mu bezpieczeństwo?

5

Przyciskam dłonie do oczu i cicho jęczę. Muszę sobie przypomnieć, co się wczoraj wydarzyło.

Zaczynam od tego, co pamiętam. Obudziłam się z bólem głowy i suchością w ustach tuż po ósmej. Zeszłam na dół po schodach, żeby nakarmić Percy'ego i zaparzyć herbatę, którą następnie wypiałam w ogrodzie.

Było już ciepło, zapach wiciokrzewu na treliżu przy tylnych drzwiach przywołał tak silne wspomnienia o dziadku, że poczułam się tak samo rozbita jak w dniu jego pogrzebu.

Tamtego dnia, wzmocniona kilkoma łykami whisky z małej srebrnej butelki wujka Boba, podreptałam do mównicy, utkwiłam wzrok w prostym drewnianym krzyżu na tylnej ścianie i zrobiłam wszystko, co mogłam, dla ulubionej osoby na świecie.

Nie płacz nad moim grobem. Mnie tam nie ma. Nie śpię.

Kiedy zmarł dziadek, byliśmy z Milesem w trakcie przeprowadzki ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich z powrotem do Wielkiej Brytanii. Mimo że część mnie tęskniła za bezchmurnym błękitem nieboskłonu i połyskującymi wieżowcami Dubaju, to nigdy nie czułam się bardziej swojsko niż tutaj, gdzie obecność dziadka była wszędzie wokół mnie.

Najchętniej zaszyłabym się w domu na cały dzień i rozpaczała nad sobą, ale dokuczał mi ból zęba. Nie chciałam skończyć z ropniem, więc

wzięłam prysznic, ubrałam się, zmusiłam do przełknięcia kawałka tosta, po czym wybrałam się do miasta.

Dentysta zrobił zdjęcie rentgenowskie szczęki, a stwierdziwszy, że plomba trzyma się dobrze, oczyścił zęba i wypolerował. Podał mi plastikowy kubek z płynem do płukania ust.

– Ile jednostek alkoholu wypija pani tygodniowo? – zapytał.

Przepłukałam jamę ustną różową cieczą, wyplułam i wytarłam wargi chusteczką, którą mi wręczył, po czym wyrecytowałam swoją standardową odpowiedź:

– Czternaście.

To wytyczna rządowa, bezpieczna liczba, którą śmiało można podać podczas rozmowy z pracownikami służby zdrowia oraz mężami. Zignorowałam głosik w głowie, który wyszeptał sarkastycznie: *Czternaście tygodniowo? No proszę cię...*

– Dlaczego pan pyta? – zapytałam nieco defensywnie.

– Czy podczas szczotkowania krwawią pani dziąsła?

– Czasami się zdarza...

– Proszę zmienić pastę na taką do zębów wrażliwych i może ograniczyć nieco spożycie alkoholu. Umówmy się na wizytę za pół roku, żeby mieć pod kontrolą ten osad. Nie chcemy przecież, żeby straciła pani zęby, prawda? – powiedział z uśmiechem.

Protekcjonalny dupek. Uśmiechnęłam się sztywno, zebrałam kurtkę i torbę, po czym wyszłam, rzecz jasna nie umówiwszy się na kolejne spotkanie. Pieprzyć go. Znajdę dentystę, który się zna na rzeczy. Mam zęby w świetnym stanie.

Wciąż byłam rozjuszona, gdy kupowałam lunch, i pewnie dlatego wzięłam kilka puszek zinfandela* do kanapki. Tak tylko, na uspokojenie.

Na Westgate Gardens było tłoczno – pełno rodzin i pracowników biurowych cieszących się słońcem po absurdalnie zimnym jak na tę porę roku maju. Znalazłam miejsce z widokiem na rzekę i przed pociągnięciem za zawleczkę puszki zerknęłam na telefon.

Przysłała wiadomość ze zdjęciem od Tess, mojej najlepszej przyjaciółki z Dubaju: kieliszek koktajlowy z oliwką na patyku uwieczniony na tarasie z widokiem na rozświetloną nocną panoramę metropolii.

Tess: Tęsknię za tobą, Luce. Zadzwoń w wolnej chwili, co? Mam nowinę! PS. Przycięłaś swoje krzaki – czy co tam robiłaś?!

Tess to Australijka o wielkim sercu i pieprznym poczuciu humoru. Zaprzyjaźniłyśmy się od razu, gdy przedstawiono nas podczas grilla w klubie plażowym. Charlie, mąż Tess, podobnie jak Miles pracuje dla jednej z kluczowych firm naftowych, tyle że w biurze, podczas gdy mój mąż jest inżynierem na platformach wiertniczych.

Zanim do niej zadzwoniłam, zerknęłam na zegarek. W Dubaju jest o cztery godziny później niż w Wielkiej Brytanii, więc dochodziła u nich piąta po południu, ale Charlie pracuje w absurdalnych godzinach i rzadko jest w domu przed siódmą.

– Ja też tęsknię – powiedziałam, gdy odebrała. Dodając prymitywnie: – I nie przycinałam krzaków. Stylizowałam. To co innego.

Tess parsknęła śmiechem.

– Wy, Brytole. Niech ci będzie. Jak się masz, kumpelko?

– W porządku. Wszystko w porządku.

– A Miles?

– Jest na morzu. Wraca za dwa tygodnie.

– Komu dobrze... – westchnęła Tess. – Ile bym dała, żeby przez kilka tygodni myśleć tylko o sobie. Czysta rozkosz.

– Aha, Charlie znów nie opuszcza deski klozetowej? Biedactwo.

Charlie jest najmilszym człowiekiem, jakiego spotkałam – uprzejmy, zabawny i przystojny – ale Tess wciąż na niego narzeka. Nie zdaje sobie sprawy, jaką jest szczęściarą.

– Wiesz, co ostatnio wymyślił? Umówiliśmy się, że nie będziemy robić hałasu wokół dziesiątej rocznicę ślubu, a on podczas śniadania wręczył mi bilety na weekend w Qua Spa w Caesars Palace. Czułam się okropnie.

– Serce mi krwawi.

– Sama widzisz. Jest irytujący. Ale nie dzwonię, żeby uskarżać się na męża. Mam wieści – powiedziała.

– Wpadasz z wizytą? – zapytałam z nadzieją. Zapowiadała, że nas odwiedzi, odkąd wróciliśmy do Wielkiej Brytanii.

– Nie, to nie to. – Zawiesiła głos i pamiętam, że poczułam dreszcz niepokoju. – Jestem w ciąży! – oznajmiła.

– W ciąży?

– Czwarty miesiąc. Chciałam ci powiedzieć wcześniej, ale wiesz... – Urwała.

– To... to cudownie. – Zmarszczyłam brwi. Tess nigdy nie chciała mieć dzieci. Zawsze twierdziła, że zburzyłyby jej szalowy styl życia. To jej słowa, nie moje. – To cudownie... prawda? – dopytałam.

– Tak! Po twoim wyjeździe wszystko wydało się takie... sama nie wiem... puste. Powierzchowne. Ciągłe tylko imprezy, chłanie, poranki z kaczkiem. I tak w kółko. Poczułam, że czegoś mi brakuje.

– To fantastyczna wiadomość. Gratulacje. Mówię poważnie – dodałam bardziej po to, żeby przekonać samą siebie. – Na kiedy masz termin?

– Listopad. Miałam najbardziej diaboliczne poranne mdłości, nie dałabyś wiary.

Pozwoliłam jej paplać o refluksie i zaparciach, podczas gdy popijałam wino, zastanawiając się, co tak naprawdę czuję po tej nowinie.

Teraz, kiedy szok już minął, zaczęłam się szczerze cieszyć z powodu Tess i Charliego. Zawsze uważałam, że to, iż nie chcą dzieci, jest straszliwie smutne, bo wiedziałam, że byliby wspaniałymi rodzicami. Kto wie, może nawet poprosiliby Milesa i mnie o zostanie chrzestnymi, co także byłoby cudowne.

Ale wczoraj użalałam się nad sobą – i Tess musiała to wyczuć.

– Przepraszam, Luce, wiem, że to musi być dla ciebie trudne po tym wszystkim, przez co przeszliście z Milesem – stwierdziła.

Próbowałam się z tego otrząsnąć, lecz powiedziałam jej, żeby nie była głuptasem, że mam się dobrze, a nawet lepiej niż dobrze, że jestem wniebowzięta z powodu jej i Charliego. To była najlepsza wiadomość w historii, niezmiernie się cieszyłam ich szczęściem.

Zakończyłyśmy rozmowę obietnicą, że częściej będziemy w kontakcie, po czym ostrożnie wsunęłam telefon do torebki i zatopiłam wzrok w szemrzającej rzece.

Tak trwałam dopóty, dopóki już nie byłam w stanie patrzeć przez łzy.

Uświadomiłam sobie, że nie płaczę z powodu dziecka Tess, tylko z powodu dziecka, które ja sama utraciłam.

* Rodzaj wina z czerwonego szczepu winorośli pochodzącego z Chorwacji (przyp. tłum.).

6

Co było potem? Pamiętam, że siedziałam nad brzegiem rzeki, topiąc smutki w winie. Wyżłopałam drugą puszkę i skubnęłam kanapkę, ale całkiem straciłam apetyt. Najwyraźniej musiałam zasnąć, bo następną rzeczą, którą zapamiętałam, był hałas podniesionych głosów.

Przeczesałam palcami włosy i rozejrzałam się wokół. Obok mnie, na ławce, siedziała para pogrążona w gorącej kłótni, nie przejmując się tym, że ludzie w pobliżu przerwali własne rozmowy, zmuszeni ich słuchać.

– Nie obchodzi mnie, co mówisz, widziałam cię z nią! – wrzasnęła dziewczyna.

– Do niczego nie doszło – odparł jej chłopak. Miał na sobie czarną koszulkę Nike, szare dresy i czapkę z daszkiem. Wyglądał na jakieś dziewiętnaście lat. Jego partnerka, ubrana w czarne legginsy i białą koszulkę, wydawała się jeszcze młodsza.

– Więc co niby z nią, kurwa, robiłeś?! – krzyknęła dziewczyna.

– Sprzedawała zioło. Wziąłem od niej trzy działki. To tylko dwadzieścia funtów.

– Nie mamy dwudziestu funtów. – Nastolatka wstała i pochyliła się nad wózkiem, którego wcześniej nie dostrzegłam. Wyciągnęła opatulone w poplamiony żółty koc zawiniątko i przytuliła je do piersi. Jej ramiona były chude jak u narkomanki, pokryte tatuażami. Zbliżyła się do chłopaka z napięciem na twarzy. – Mamy dziecko – wysyczała. – Na wypadek, gdybyś zapomniał.

– Jak mam zapomnieć? Ten bachor nie przestaje wyć, a ty wciąż wbijasz mi szpile! Mam już dość. Dziś śpię u mamy. – Wyciągnął z blaszanego pudełka skręta, zapalił go i w chmurze cuchnącego dymu odszedł w kierunku centrum miasta.

– Reece! – zawołała dziewczyna. – Zaczekaj! – Umieściła dziecko z powrotem w wózku i pospieszyła za nim. – Reece, przepraszam. Poczekaj, dobrze? Reece!

Kiedy odeszła, siedząca obok mnie na ławce starsza pani przyciągnęła mój wzrok chrząknięciem.

– Niektórzy nie powinni mieć dzieci – oznajmiła.

– Nie powinni – zgodziłam się, spakowałam pozostałości po lunchu i podniosłam się na chwiejnych nogach. Ta kłótnia, w połączeniu z nowiną od Tess, zepsuła mi słoneczne popołudnie. Chciałam być wszędzie, byle nie tam.

Pamiętam, że wyrzuciłam puste puszki i na wpół zjedzone kanapki do najbliższego kosza, po czym wróciłam do miasta.

W myślach włączam pauzę i uważnie odtwarzam tę scenę, próbując ustalić, jak duże było to dziecko. Trudno powiedzieć, w końcu nie widziałam jego twarzy, ale z rosnącym przerażeniem zdaję sobie sprawę, że było mniej więcej tego samego rozmiaru co Wren.

Powiedzieli, czy to dziewczynka, czy chłopiec? Nie przypominam sobie. A żółty koczek, w który było owinięte, nie dawał żadnych wskazówek. Czy to możliwe, że natknęłam się na tę dziewczynę z maleństwem w drodze powrotnej na parking, a ona mi je oddała... albo ja sama je zabrałam?

Zamykam oczy i odtwarzam scenę po raz drugi. Przypominam sobie, że czekałam, aż światła na przejściu dla pieszych zmienią się na zielone, a potem przeszłam na drugą stronę ulicy. Byłam sama. A potem... nic.

Warczę z frustracji, czym budzę Wrena, który otwiera oczy, spogląda na mnie i zaczyna kwilić. Spoglądam na zegarek. Jest prawie dwunasta, trzy godziny od ostatniej butelki. Nie mam pojęcia, z jaką regularnością powinno się karmić dzieci, ale metoda „mało i często” brzmi sensownie, więc idę do kuchni, by napełnić butlę kolejną porcją mleka, co oznacza, że zostaje mi tylko jeden kartonik.

Niemowlę kieruje wzrok na butelkę i natychmiast ją chwyta. Sadzam go na kolanach, daję mu pokrywkę do zabawy, a śpioszki okrywam czystą ściereczką.

– Jeśli masz tu zostać do rana, to potrzebujemy zapasów – mówię do niego, delikatnie odsuwając mu kosmyk z buzi podczas karmienia.

Muszę też odebrać samochód. Bóg jeden wie, ile zapłacę za parkowanie. Ale najpierw trzeba się dostać do Canterbury, siedem mil stąd. Do wyboru mamy taksówkę, pociąg lub autobus. Rozważam dostępne opcje. Pociągiem byłoby najszybciej, ale spacer ze stacji do marketu to długa wyprawa. Taksówką byłoby najłatwiej, a w torebce mam kartę sieci Canterbury Cabs. Ale co, jeśli przyślą tego samego kierowcę, który przywiózł mnie do domu zeszłej nocy? Na samą myśl o tym płonę ze wstydu.

Mogłabyś się przekonać, czy Wren był wtedy z tobą – szepcze mi głos w głowie.

A jeśli był? To co wtedy?

Sięgam po telefon. Jest autobus z wioski o piętnastej dziesięć. Zdążymy.

Dalsza część książki dostępna w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

Dostępne w wersji pełnej

List od A.J. McDine

Dostępne w wersji pełnej

Podziękowania

Dostępne w wersji pełnej

Spis treści

1. [Okładka](#)
2. [Karta tytułowa: A. J. McDine, Niemowlę](#)
3. [Karta redakcyjna](#)
4. [1](#)
5. [2](#)
6. [3](#)
7. [4](#)
8. [5](#)
9. [6](#)
10. [7](#)
11. [8](#)
12. [9](#)
13. [10](#)
14. [11](#)
15. [12](#)
16. [13](#)
17. [14](#)
18. [15](#)

19. [16](#)

20. [17](#)

21. [18](#)

22. [19](#)

23. [20](#)

24. [21](#)

25. [22](#)

26. [23](#)

27. [24](#)

28. [25](#)

29. [26](#)

30. [27](#)

31. [28](#)

32. [29](#)

33. [30](#)

34. [31](#)

35. [32](#)

36. [33](#)

37. [34](#)

38. [35](#)

39. [36](#)

40. [37](#)

41. [38](#)

42. [39](#)

43. [40](#)

44. [41](#)

45. [42](#)

46. [43](#)

47. [44](#)

48. [45](#)

49. [46](#)

50. [47](#)

51. [48](#)

52. [49](#)

53. [50](#)

54. [51](#)

55. [52](#)

56. [53](#)

57. [54](#)

58. [55](#)

59. [56](#)

60. [57](#)

- 61. [58](#)
- 62. [59](#)
- 63. [60](#)
- 64. [61](#)
- 65. [62](#)
- 66. [63](#)
- 67. [64](#)
- 68. [65](#)
- 69. [List od A.J. McDine](#)
- 70. [Podziękowania](#)